Sigismund Baldenhof



Zupa z chudego mięsa

Sigismund Baldenhof urodził się w Azyrze i tam też odbył całą swoją naukę jako kapłan. Nie był ani pierwszym, ani najlepszym ze swojego rocznika, i nikt, kto go wtedy znał, nie zapisał o nim niczego, co warto byłoby powtórzyć.

To, z czego zapamiętano go później, zaczęło się dopiero przy kolumnach. Spał w namiotach ze swoimi ludźmi, nie osobno. Jadł to samo co oni, i było to zwykle to samo co zawsze: zupa z chudego mięsa, gotowana długo, żeby starczyła dla większej liczby misek niż powinna. Szedł tyle samo, marzł tyle samo i tak samo długo stał w błocie przy naprawianym kole. Gdy kolumna zatrzymywała się na noc, wiedział, którzy ludzie są chorzy, zanim zameldowali to sami.

Nie było w tym pokory ani wyrachowania i sam nigdy nie tłumaczył tego cnotą. Uważał po prostu, że dowódca, który nie wie, jak czuje się jego oddział, nie wie o nim najważniejszego, a wiedzy tej

nie da się zdobyć z meldunku. Żołnierze go kochali i kochali go dlatego, że pod nim wracało ich więcej.

Wrogów nienawidził bez ozdób i bez teologii, i oni odpłacali mu tym samym. W kilku obozach po drugiej stronie znano jego imię, co dla kapłana polowego nie jest rzeczą zwyczajną.

Był przy tym dowódcą dobrym, choć nie wybitnym, i wojownikiem lepszym niż większość ludzi w jego wieku. Przez wiele lat wystarczało to całkowicie.

Bród

Kroniki nie zgadzają się co do tego, gdzie miało to miejsce, i nie zgadzają się także co do tego, czyj błąd doprowadził do klęski. Kolegia w Azyrze rozstrzygały to dwukrotnie i dwukrotnie nie udało się tego ustalić. Ta historia tego nie rozstrzyga i nie po to ją opowiadamy.

Pewne jest tylko to, że Krucjata przegrała bitwę, której nie musiała przyjmować. Kolumna zawróciła w nieładzie, wozy blokowały drogę, a jedyne przejście przez rzekę okazało się wąskie w sposób, którego nikt nie przewidział, bo w drugą stronę przechodziło się je bez pośpiechu.

Sigismund został przy brodzie z siedemdziesięcioma ośmioma ludźmi. Nie zostali wyznaczeni. Część z nich była z jego oddziału, część nie, kilku było ranionych na tyle, że i tak nie dożyliby świtu. Nie wygłoszono mowy i nie było czasu na zaawansowaną strategię. Linia została ustawiona.

Utrzymali przejście przez większą część dnia. Kolumna przeszła.

Nikt z siedemdziesięciu dziewięciu nie wrócił. Lista poległych została spisana przez kogoś innego, bo tego, kto zwykle ją spisywał, nie było już pośród nich.

Kowadło

O tym, co dzieje się między śmiercią a Kowadłem Apoteozy, Stormcaści mówią niewiele i nie dlatego, że im zabroniono. Po prostu nikt nie potrafi tego opowiedzieć w sposób, który znaczyłby to samo dla słuchającego.

Sigmar wziął ich wszystkich. Sigismunda i tych siedemdziesięciu ośmiu, którzy zostali z nim przy brodzie — całą tylną straż, bez wyboru i bez odsiewu. W Sigmarabulum, w kuźniach Sześciu Kowali, przekuto ich w tej samej godzinie, jednego po drugim, i wyszli stamtąd znający się nawzajem. Wierna Straż – bo tak też potem zaczęto nazywać ich Dom - zaczęła się od siedemdziesięciu dziewięciu ludzi, którzy pamiętali nawzajem swoje twarze sprzed śmierci i pamiętali, gdzie stał każdy z nich, gdy nadeszli jeźdźcy.

Reszty Domu dopełniono duszami zebranymi wcześniej, przechowywanymi w Azyrze od czasów, których żaden z nich nie pamiętał. Było ich razem niecałe sześćset. Ci pierwsi nigdy nie przestali być rozpoznawalni.

Dom

Sigismund nazwał swój Dom Zakonem Wiernej Straży pierwszego dnia i nie zmienił tego nigdy.

W rejestrach Sigmarabulum figuruje jako Dom Wiernej Straży, poprawnie i zgodnie z rangą. Sigismund mówi „zakon” i pozwala mówić tak swoim ludziom. Zapytany, odpowiada, że nazwa

nie jest obietnicą na przyszłość, tylko stwierdzeniem tego, czym jego ludzie już są, i że rejestry mogą to zapisać kiedy zechcą. Starsi Stormcaści poprawiają go przy każdym spotkaniu. Robi się z tego rodzaj obrzędu, w którym obie strony znają swoje kwestie.

Zdanie, które w Wiernej Straży powtarza się częściej niż jakiekolwiek inne, brzmi krótko: ostatni odchodzi ten, kto pierwszy kazał iść.

Trzy lata

Przez pierwsze trzy lata Dom służył tam, gdzie służą formacje młode, czyli wszędzie tam, gdzie potrzeba jest pilna, a stawka niewielka. Odbijano przełęcze, osłaniano odwroty innych, trzymano brody i mosty. Wierna Straż okazała się w tym dobra w sposób, który zwrócił uwagę — nie dlatego, że wygrywała starcia, lecz dlatego, że wracało z nich więcej ludzi niż powinno.

W tym czasie zginęli pierwsi z nich i wrócili z Kuźni tak, jak wracają wszyscy.

Sigismund był przy pierwszym powrocie i nie powiedział wtedy nic. Człowiek, który wrócił, pamiętał swoje imię, pamiętał bród i pamiętał, gdzie stał. Nie pamiętał już, dlaczego śmiał się z pewnego zdania, które przez lata powtarzano w ich oddziale, i próbował to ukryć, kiedy zorientował się, że nie pamięta.

W Wiernej Straży nie mówi się o tym i nie jest to zakaz, tylko zwyczaj. Sigismund nie wygłosił na ten temat nigdy żadnej nauki i nie zmienił niczego w tym, co głosi. Nadal mówi swoim ludziom, że przekucie jest darem, i mówi to bez wahania, którego można by się spodziewać po kimś, kto widział, jak wygląda pierwszy raz.

Poselstwo

Poselstwo z Cindral-Gond dotarło do Azyru z opóźnieniem, którego nikt nie potrafił dokładnie policzyć. Wyruszyło w czasie, gdy magia w Gondii była martwa, przejścia nie odpowiadały na wezwania, a to, co udało się otworzyć, otwarto kosztem, o którym posłowie nie mówili chętnie. Wieści, które przywieźli, były w chwili wygłoszenia przestarzałe o wiele miesięcy i wszyscy w komnacie zdawali sobie z tego sprawę.

Mówiły rzecz następującą. Nullfala zdławiła magię na całym kontynencie. Miasta Sigmara przetrwały, ale są rozproszone, słabe i utrzymują się głównie dzięki pryzmatom, których działania nikt nie rozumie. Cindral-Gond jest ostatnim wielkim bastionem w tej części Ghur i prosi o wsparcie.

Sigmar przydzielił Wierną Straż.

Rozkaz miał dwie części i już wtedy było widać, że nie są to dwie części tego samego zadania. Pierwsza brzmiała: chronić poddanych Sigmara w Gondii. Druga brzmiała: ustalić, czym jest anomalia magiczna kontynentu i na jakiej zasadzie działają pryzmaty. Sigismund przyjął obie bez zastrzeżeń i bez pytań.

Droga

Podróż trwała długo. Ghur nie jest krainą, przez którą się przechodzi, a Gondia leży na jej północy, odcięta od pozostałych lądów w sposób, który sprawia, że każdy jej opis w rejestrach Azyru jest o kilka lat spóźniony. Wierna Straż szła, płynęła i szła ponownie.

Czerwone światło zobaczyli, będąc jeszcze daleko.

Nie wiedzieli, co to jest. Nikt w kolumnie nie wiedział, a ci, którzy próbowali odczytać znaki, otrzymali odczyty sprzeczne ze sobą. Trwało to krótko i minęło, a potem przez kilka dni ludzie skarżyli się na sen, w którym słyszeli dzwon.

Sigismund odnotował zjawisko i szedł dalej, bo rozkaz nie przewidywał zatrzymania, a on sam nie widział powodu, dla którego miałby go zmieniać na podstawie światła na horyzoncie.

Do Gondii przybyli do świata, którego opis w ich rozkazach był już nieprawdziwy w każdym punkcie.

Pętle

O Karmazynowym Pogłosie dowiedział się w Cindral-Gond, w ciągu pierwszych godzin, i dowiedział się o nim jako o rzeczy dawno oswojonej. Uczeni Kręgów Bramowych badali zjawisko od miesięcy, mieli dla niego nazwę, mieli powołane kolegium i mieli spór, który zdążył już podzielić ich na dwa obozy. Nazywali to Rubinowym Rezonansem. Żołnierze na murach nazywali to inaczej.

Wysłuchał sprawozdania o Pętlach Bitewnych spokojnie, bo sprawozdanie było rzeczowe i podawało liczby.

Potem zapytał, czy to prawda, że każde powtórzenie jest pełne. Że wojownik w Pętli nie tylko ginie ponownie, lecz ponownie ma nadzieję, ponownie się boi i ponownie wykonuje rozkaz, którego wynik jest już rozstrzygnięty od stuleci.

Powiedziano mu, że tak.

To, co nastąpiło potem, w kronikach Cindral-Gond opisano oszczędnie i bez przymiotników, co samo w sobie mówi wystarczająco dużo o tym, jak to wyglądało. Sigismund kazał zwoływać Dom jeszcze tego samego wieczoru. Zamierzał wymaszerować na Niziny Myrrth i rozbić pierwszą Pętlę osobiście, nie mając o niej żadnej wiedzy poza tą, którą usłyszał przy stole.

Rzeczą, która go zatrzymała, nie była perswazja. Był nią wykaz strat, jakie poniosły trzy wcześniejsze wyprawy wysłane przez miasto w tym samym zamiarze.

Jego gniew nie dotyczył przy tym samej śmierci, bo śmierć żołnierza była dla niego rzeczą policzalną i znaną. Dotyczył tego, że ci ludzie giną w Pętlach pojedynczo. Że nie mają już nad sobą nikogo, kto wydaje rozkazy w ich interesie, ani nikogo obok, kto wróciłby po nich. Że odebrano im dokładnie to, co jego samego uczyniło tym, kim jest — obowiązek wobec kogoś i czyjś obowiązek wobec nich.

Kolegium

Narady z magami i uczonymi trwały wiele dni i Sigismund wysiedział je wszystkie, choć nie miał do tego cierpliwości i nie ukrywał tego szczególnie.

Wniosek, do którego doszedł, nie był jego odkryciem i on sam nigdy nie twierdził inaczej. Uczeni kolegium sformułowali go przed jego przybyciem: echoryt reaguje na pryzmaty, pryzmaty pochodzą z tej samej anomalii, którą zostawiła po sobie Nullfala, a jedno i drugie odpowiada na

Bramę Ciszy. Jeżeli Nullfala i Karmazynowy Pogłos są dwiema stronami tej samej rzeczy, to zrozumienie jednej z nich jest jedyną znaną drogą do zatrzymania drugiej.

Sigismund przyjął to i zrobił z tym coś, czego kolegium nie potrafiło zrobić samo. Wziął uczonych pod ochronę zbrojną i postanowił wyruszyć razem z nimi.

Rozkaz

Druga część rozkazu pozostaje niewykonana, choć nikt jeszcze nie nazwał tego niewykonaniem.

Sigismund nie kłamie Sigmarowi i nie zamierza tego robić. Nie odmówił też żadnego polecenia i nie wygłosił nigdy zdania, które można by przytoczyć jako sprzeciw. Meldunki wysyła regularnie i są one prawdziwe w całości.

Są jednak spóźnione i są niepełne. Pryzmaty, które miały zostać odesłane do Azyru celem zbadania, zużywa się w Gondii na osłony konwojów i na to, żeby zaklęcia obronne miast działały dłużej niż jedną noc. Echoryt, którego właściwości Sigmar chciałby poznać, wydaje się na te same rzeczy. Uzasadnienie w meldunkach brzmi zawsze tak samo i zawsze jest zgodne z prawdą: materiał zużyto na ochronę ludności.

Sigismund uważa, że pierwsza część rozkazu ma pierwszeństwo, i że Sigmar wydając obie w tej właśnie kolejności wiedział, co robi. Możliwe, że ma rację. Nie zwrócił się jednak nigdy do Azyru z prośbą o rozstrzygnięcie tej kolejności na piśmie, choć droga do tego jest otwarta i zajęłaby mniej czasu niż podróż, którą już raz odbył.

Teraz

Wierna Straż stoi w Gondii od niedawna i większość kontynentu wciąż nie wie, że przybyła. Dom liczy mniej ludzi niż w dniu wymarszu i nie wszystkie ubytki dało się uzupełnić.

Sigismund jest Lordem Dowódcą i Pierwszym Reliktorem, i nosi oba tytuły jednocześnie, co w zakonach starszych uchodzi za rozwiązanie tymczasowe. Rozbija Pętle wszędzie tam, gdzie da się je rozbić bez strat nieproporcjonalnych, uwalnia dusze zamiast je wiązać i nie pozwolił dotąd nikomu ze swoich sięgnąć po esencję furii dla siły, choć wie, że robią to inni i że robią to skutecznie. Gromadzi echoryt i pryzmaty, wydaje je na obronę, a wiedzę o nich odsyła w porcjach mniejszych, niż mógłby.

Pamięta wszystko, co pamiętał za życia. Pamięta bród, kolumnę, wozy i to, jak długo trwał tamten dzień. Wie, ilu ludzi przeszło, bo policzył ich, zanim zginął.

Wierzy, że przekucie jest darem, i wierzy w to szczerze. Wierzy, że tym, co odebrano poległym w Pętlach, jest właśnie ten dar — obowiązek, oddział i ktoś, kto po nich wróci — i że oddanie im tego jest jedyną rzeczą wartą całej tej wojny o wspomnienia.

Ostatni odchodzi ten, kto pierwszy kazał iść. Zna to zdanie odkąd zna jakiekolwiek zdania, powtarza je swoim ludziom i wierzy w nie tak, jak wierzy się w rzeczy sprawdzone na własnej skórze.

Nie zadał sobie natomiast jeszcze pytania, które prędzej czy później zada mu ktoś inny, i to niekoniecznie wróg — czy to, co on sam dostał na Kowadle, i to, co powtarza się na Nizinach Myrrth o każdym świcie, nie jest przypadkiem tą samą rzeczą, oglądaną z dwóch stron.